Numer pojedynczy 2 kor. — 1 Mk. 30 pf.

XXII. Kraków, 15 lipca 1919 r. Nr. 14

„BOCIAN“

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przesyłką pocztową 11 kor. 40 hal.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 83 (dom własny). **Telefon Nr. 479**

W Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem:

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

Wyłączne zastępstwo na Warszawę i Królestwo Polskie: **Zygmunt Bereda, Warszawa, Marszałkowska 119. — Łódź, Piotrkowska 62.**

Redaktor: Konstanty Krumłowski.



W gabinecie.

On: Niech żyje młodość i wino!...
Ona: Dziękuję!... Niech żyje starość i woda Franciszka Józefa!

Od Administracyi.

Z powodu strejku drukarzy i ponownego podrożenia papieru oraz wszelkich materyałów drukarsko-technicznych jesteśmy zmuszeni podnieść prenumeratę „Bociana".

Prenumerata wraz z przesyłką pocztową wynosi:

Rocznie	K 45·60	Mk 29·80
Półrocznie	„ 22·80	„ 14·90
Kwartalnie	„ 11·40	„ 7·45
Pojedynczy egzemplarz	„ 2·—	„ 1·30

Panu Drowi Skąpskiemu do albumu

Tęp paskarstwo panie Skąpski
Każdy akcyi tej przyklaśnie —
Ale tęp go przedewszystkiem
Tam, gdzie jego źródło właśnie.

Źle jest, że kieliszek wódki
Trzy korony liczą w szynku,
Ale gorzej, że sprzedają
Po koronie jaja w Rynku!

To też z całem zaufaniem
Polecamy łasce Pańskiej
Nie kawiarnie i cukiernie,
Ale Rynek, plac Szczepański.

A jeżeli już naprawdę
Chcesz się Pan przysłużyć światu,
Zajrzyj także do Policyi
I naszego Magistratu!

●●●

Już się ono spełniło...

Raz na wycieczkę wybrali się ojcowie Jezuici, zabrawszy naturalnie celem pokrzepienia swych wątłych ciał puzderko, obficie zaopatrzone w różne stałe i płynne specyały.

Rozłożyli się obozem obok figury, stojącej wśród drzew przy drodze, zabawiając się rozmową, jedząc i popijając.

Wtem patrzą, od strony miasta ciągnie powoli kilku brzuchatych Bernardynów i to prosto w ich stronę.

Co tu robić?... Trzeba się będzie z nimi podzielić zapasami, a to się im bynajmniej nie uśmiechało!

Od czegóż jednak głowa, a w niej rozum i to rozum nie byle jaki, ale jezuicki?... Rozejrzawszy się w sytuacyi, w pagórku pod figurą wykopali pospiesznie głęboką dziurę, wrzucili tam puzdro przysypali ziemią i odeszli w stronę sąsiedniego lasu w tej nadziei, że tu powrócą i dokończą posiłku, gdy Bernardyni znikną z horyzontu.

Po chwili miejsca ich zajęli w cieniu drzew przybysze... Było ich czterech, chłop w chłopa, nie przypominający niczem mistycznej postaci swego praojca, św. Franciszka.

Bernardyni, jak każdemu zapewne wiadomo, odznaczają się wybornym węchem, nic też dziwnego, że poczuli zaraz, iż przed nimi raczono się tutaj różnymi przysmakami, co wskazywały zresztą ślady, pozostałe na trawie.

Zaintrygowała ich też świeżo poruszana ziemia, jako więc ludzie ciekawi, chcący po nitce dojść do kłębka, przeczuwając jakiś podstęp Jezuitów, dalejże kopać.

I dokopali się..

Z tryumfem wyciągnęli puzdro z specyałami i najsumienniej je wypróżnili, poczem umieścili je w pierwotnej skrytce, zasypali i odeszli najspokojniej.

W jakąś godzinę potem wracają Jezuici, zgłodniali i spragnieni, wyciągają puzdro, ale któż opisze ich przerażenie i wściekłość, gdy widzą, że zapasy znikły, a zamiast nich znajduje się tylko kartka papieru z napisanym na niej wyjątkiem ze znanej kolendy:

„Już się ono spełniło, co pod figurą było!"

List krakowskiej chórzystki do lwowskiej koleżanki.

Droga Helu Siu!

Donoszęci, że się zaczęły się nasze feryje operretkowe, wobec czego zabrałam się do obszywania moich koszul i majtek koronkami, bo ja nie lubię bezczynności, ale przeciwnie, lubię być na wszystko przygotowaną, a jak powiedziałam przez cały miesiąc nic nie będę na scenie wyczyniała. Horoskopy mam śliczne (horoskopy to nie jest żaden kawałek bielizny, tylko widoki na przyszłość). Wobec czego myślę stanowczo dostać się do „Bagateli" i sądzę, że przy protekcyi pewnego odłamu prasy uda mi się tam wtrynić, a wtedy i ciebie Kochana Helu Siu! tam wciągnę, bo „Bagatela" angażuje tylko pierwszorzędnych artystów i takież artystki. Ty masz nogi dosyć cieńkie więc mogłabyś być dramatyczną, ja zaś uposażona od matki-przyrody grubemi łydkami mam wobec tego talent przeważnie do amantek. Oni — jak mówią mają dosyć hopów — i na zarobku im nie zależy, a tę budę chcą prowadzić tylko na złość Trzcińskiemu i Jarnińskiemu, ażeby skapali na amen. Byliby i Feldmanna zaangażowali, ale on wolał już umrzeć, aniżeli doczekać się tak dziwnej propozycyi.

Teatr „Bagatela" (no wiesz! ten przy Karmelickiej!) rozpisał konkurs na komedyę. Utwor nie może mieć mniej, jak jeden akt i nie więcej sensu jak całe przedsiębiorstwo. Nie śmie być osnutym na tle wyborów do Sejmu ani do rady miejskiej z gminy Dąbie. Jak słychać Treter nie weźmie udziału w konkursie, gdyż jego najmłodsza koza przygotowuje się do premiery wydania na świat małego koźlątka, więc wobec tego on musi jej pomagać.

Jak z tego widzisz, ruch teatralny za czyna się u nas budzić, ale ja za to idę spać, bo jestem zmęczona i zupełnie jakby połamana. Czy u Was we Lwowie są także takie twarde kanapki w gabinetach?

Tfoja

Maniu Sia!

W handlu galanteryjnym.

— Prosze pana. Te fajne grzebienie! Echt szylkret.. Pańska żona z pewnoszczą wycałuje pana za taki presenczyk... To si nie złamie, nie zgubi, nie zniszczy!... Aj!... aj!... panie dobrodżeju! niech pan będzie łaskaw zdaleka zapalić papieros... bo mi się zgrzebienie spali!...

⊙ ⊙

Kontrabanda.

Energiczny pan respicyent
Od skarbowej straży,
Człek tej miary, co to dawni
Urzędnicy starzy.

Na łajdactwo żadne nigdy
Oczu nie zamyka.
Gdy na kontrabandzie złapie
Kiedy przemytnika.

Dzisiaj tacy urzędnicy
Są nadzwyczaj rzadcy,
Więc dlatego ma też względy
U samego radcy.

A gdy wieczór jest na służbie,
Wtedy przełożony
Ma te same względy również
I dla jego żony.

A gdy synek się urodził,
(Dzieciątko kochane),
Rzekł respicyent jak bohater:
„W domu nie zostanę!

Muszę śledzić nad granicą
Przemytników bandę!"
A nie wiedział, że ma w domu
Małą — — — kontrabandę!..

Na dębnickim moście.

Na dębnickim moście
Tłum ludu się tłoczy,
Każdy ma na Wisłę
Skierowane oczy.

Każdy się ciekawie
Przez poręcz wychyla,
Może tam na Wiśle
Ujrzał krokodyla?

„Patrzcie! patrzcie jeno!"
Słychać wciąż okrzyki,
Może to przyjechał
Okręt z Ameryki?

Tłumy wciąż wzrastają
Z mostu i u brzega,
A może tu topią
Niemieckiego szpiega?

I cóż tam zobaczył
Nasz poczciwy ludek?
Ot! Nasze wioślarki
Wstępują do łódek.

Te nasze wioślarki
Szykowne dziewuszki,
Prezentują światu
Swoje nagie nóżki.

Bo nie ma ładniejszych
Nóżek — jak krakowskie,
Że aż Treter patrząc
Krzyczy: „Rany Boskie!"

W miłosnym zachwycie
Szaleje po prostu,
Trzymajcież go ludzie,
Bo wam skoczy z mostu!

Gimnazyalny belfer
Rzucił na dół okiem,
— Zgorszenie! — zawołał
Z przejęciem głębokiem.

Stara straganiarka
Stanęła w pół drogi:
„Ach! I ja w młodości
Miałam takie nogi!"

Niepotrzebnie się wygadała!

Pan Adam, właściciel dóbr, ożenił się, naturalnie z miłości, z pewną artystką dramatyczną, znaną w szerokich kołach, zwłaszcza złotej młodzieży, z talentu, piękności i... cnoty.

W podróży poślubnej zawadzili państwo młodzi naturalnie i o stolicę, gdzie dawniej artystka święciła tryumfy, ponieważ zaś trudno było znaleźć w tym czasie pomieszczenia w hotelu, zagościli w kawalerskiem mieszkaniu przyjaciela pana młodego, pięknego Lola, który w tym czasie wyjechał był do swych dóbr.

Kamerdyner, uprzedzony o przybyciu gości, oczekiwał ich przybycia i zameldował, że w jadalnym pokoju przygotowana jest kolacya, posłanie zaś w sypialnym pokoju jaśnie pana.

Odprawiono go, by nie przeszkadzał niepotrzebnie, młoda para zabawiła się dłużej przy wystawnej, choć zimnej kolacyi, obficie podlanej doborowymi trunkami.

Wreszcie i sen upomniał się o swe prawa. Postanowiono udać się na spoczynek.

Na korytarz wyszła najpierw pani, za nią mąż, i skierowała się prosto ku jednym z pomiędzy kilku drzwi.

— Może to nie tu — zauważył pan Adam.

— Mój drogi — ona na to — nie sprzeciwiaj mi się, bo ja tego nie lubię! Już ja wiem chyba najlepiej, gdzie jest sypialnia Lola...

Pan Adam, usłyszawszy to, zrobił podobno dość rzadką minę... Ale temu się nikt chyba nie dziwi!

Przy toalecie.

Czy mi dobrze suknia leży?
Pyta pani pokojówkę.
Zapnij-no mi silniej haftkę,
Silniej ściągnij mi sznurówkę!

Idę dzisiaj w odwiedziny,
Wiesz do kogo? Do Alfreda!
Gdy źle będę wyglądała
To na futro mi nic nie da!

Czyż zapinać się opłaci? —
Odpowiada jej dziewczyna —
Kiedy on, znam jego figle,
Wszystko zaraz poodpina...

⊙ ⊙

Mówiący pies.

Ksiądz proboszcz miał ulubionego psa, nadzwyczaj mądrego, o którym się zawsze wyrażał, że to wielka szkoda iż psisko mówić nie umie.

Z tego postanowił skorzystać przemyślny organista i oświadczył dobrodziejowi, że zna w mieście jednego takiego profesora, który uczy psy mówić, a nawet śpiewać, ale to dużo ko sztuje. Aż pięć stówek.

Ksiądz był trochę skąpy, ale chęć posiadania mówiącego psa wreszcie zwyciężyła. Dał pięć stówek, wysłał brysia na studya do miasta, ale polecił organiście, aby postarał się o to, by uczeń miał wszelkie wygody i na niczem nie zbywało.

Minął miesiąc, minął i drugi, bryś ze studyów nie wracał. Organista odwiedzał go często, przynosząc pozdrowienie od księdza proboszcza i po kilkadziesiąt koron na nadzwyczajne wydatki.

Po powrocie zdawał organista relacyę, jakie postępy pies robi, że już mówi, ale trochę z niemieckim akcentem, co księdza bynajmniej nie dziwiło, gdyż w swoim czasie kupił szczeniaka od leśniczego, Niemca.

Co się jednak stało z brysiem naprawdę, o tem wiedział tylko organista. Prawdopodobnie dawno już oprawca sprzedał z niego skórę.

Ksiądz proboszcz zaczynał być już niecierpliwym, dłużej się go zwodzić nie dało, trzeba było pomyśleć o jakiemś rozwiązan u, z którego miał organista wyjść obronną ręką.

Ksiądz proboszcz właśnie chorował, gdy organista oświadczył, że bryś już studya ukończył i że może wracać, ale przedtem musi złożyć egzamin przed komisyą państwową, co pociągnie za sobą znowu wydatek, bo taki egzamin kosztuje sto koron.

Kto powiedział *a*, powie i *b*. Ksiądz proboszcz dał sto koron, żałując, że sam nie może być na egzaminie obecnym i wysłał w zastępstwie organistę.

Na drugi dzień wrócił organista, ale sam i jakiś smutny.

Na pytanie, gdzie bryś, odparł:

— Nieszczęście, proszę jegomościa! Co ja się tam wstydu najadłem!... Wchodzę do sali, gdzie się już zebrała komisya, a nasz bryś, skoro mnie tylko zobaczył, pyta: „Jak się macie, Walenty? Co tam słychać? Czy Kaśka z kuchni chodzi jeszcze co wieczór ściągać buty księdzu proboszczowi, nim się spać położy?“ Tak mnie też, proszę jegomościa, zgniewało takie nieposzanowanie duchownej osoby, że rzuciłem na niego laskę, uderzyłem w samą głowę i padł trupem na miejscu. Ksiądz proboszcz może się będzie gniewać, ale nie mogłem zrobić inaczej, bojąc się, a nuż się jeszcze o co innego spyta?

— Miałeś racyę, mój poczciwy Walenty!... Dobrze zrobiłeś temu łajdakowi. Teraz się przekonuję, że lepiej, jeśli pies mówić nie umie!...

Nietrudno.

Skoro się jest profesorem,
Wie się wszystko, wszystko umie,
Bo bezcennym dziś wzorem
Łatwo zyskać poklask w tłumie.

Prawdziwe zdarzenie.

W karczmie przydrożnej zjechali się równo cześnie kwestarz Bernardyn i żydek z sąsiedniego miasteczka. Handlarz koni, żydek, miał ładnego kasztanka, który się ogromnie spodobał Bernardynowi.

Nie namyślając się długo, postanowił Bernardyn użyć podstępu, by przyjść w posiadanie konia. W tym celu wysłał swój wóz do klasztoru, wraz z nim zaś i żydowskiego kasztanka, sam zaś nałożył na siebie jego uprząż i stanął przy żłobie.

Żyd po chwili wychodzi z szynkowni i swym oczom nie wierzy. Wózek jest, uprząż jest, ale konia niema, zamiast niego zaś stoi Bernardyn. Przerażony zbliża się i pyta:

— A gdzie mój kasztan?

Bernardyn zaś na to:

— Mój dobry człowieku! Ten wasz kasztan, to byłem właśnie ja!... Zgrzeszyłem ciężko i Pan Bóg za karę zamienił mnie w żydowskiego konia... Ale dziś się już moja pokuta skończyła i jestem znowu człowiekiem!... Nie żałowaliście mi batów, to też cierpiałem krócej, niż było postanowione!

Handlarz pokiwał głową, pokręcił pejsy, ale pogodził się z losem, dziękując w duchu Panu Bogu, że został bodaj wózek i uprząż.

W jakiś czas potem jest w mieście i spotyka swego kochanego kasztanka. Z początku myślał, że go wzrok myli, ale się wnet przekonał, że to dawny jego ulubieniec, zwłaszcza, że i mądry zwierz, usłyszawszy głos swego dawnego pana, zwrócił ku niemu swe oczy.

Równocześnie jednak przypomina sobie żydek niedawne zdarzenie w karczmie, zbliża się też z respektem do kasztanka i, nachylając się do jego ucha, pyta dyskretnie:

— Jegomość! A co tam jegomość znowu zbroił?

⊙ ⊙

Podróżująca piękność.

Jest to piękność, co w podróżach
Spędza całą noc do rana —
Jest to dama z obyczajów
Swoich, wszystkim dobrze znana.

Bo każdego gdzie los zdarzy
I ukocha i uściska,
Znana dobrze w każdem mieście,
Znana również jej walizka!

Choć ją każda zna granica,
Elegancką ową pannę,
Przechodziła — lecz w szpitalu
Przez czas dłuższy — kwarantannę!

⊙ ⊙

Nasze dziady.

— Wielmożne państwo, dajcie ślepemu kalece choć grosik. Zmiłujcie się nad biedną niemową, który niema rąk, a nogami nie może pracować...

Po chwili przychodzi jakaś kobieta i daje mu dwa halerze.

— Cóż ta cholera myśli! — szepce dziad po jej odejściu — Ślepemu, głuchemu, kulawemu, niemowie, daje tylko dwa halerze. A wieleż da temu, co ma tylko jedno rzemiosło!...

Źle zrozumiała.

Na lekcyi religii w pensyonacie żeńskim wykłada ksiądz katecheta swym uczenicom o grzechu.

Mówił już długo i szeroko, aby się zaś przekonać, czy ziarno słów jego padło na ziemię urodzajną, zaczyna egzaminować i, między innemi zadaje pytanie pannie Mani:

— Czem można grzeszyć?

— Myślą, mową... — i jakoś nie może wpaść na punkt trzeci.

Aby jej dopomódz, podnosi ksiądz katecheta rękę i rozkłada palce...

Pannie Mani rozjaśniło się w tej chwili w główce i woła z tryumfem:

— Już wiem! I paluszkiem!...

Niebezpieczeństwo.

Wychodziła panna Lola
Z pomieszkania kawalera,
Lokaj z całą elegancyą
Przed kokotą drzwi otwiera!

Przyjdźno panna znowu do nas,
Ja i pan mój będziem radzi,
A przez schody idź ostrożnie —
Tak famulus Loli radzi.

Bo tam trochę niebezpiecznie!
— Niebezpiecznie? — dama pyta —
Ja z mieszkaniem i schodami
Dostatecznie już obyta!

— Tak! Lecz zbłądzić łatwo można
To już w krwi panienki leży,
Zbłądzić tam gdzie na parterze
Trzej mieszkają kawalerzy!

⊙ ⊙

Z dawnych anegdot warszawskich.

Jeszcze za czasów rosyjskich był w Warszawie głośnym z dowcipu i ciętych odpowiedzi książę Ksawery Lu...

Niestety, niezważający, często pod dobrą datą, wchodzi raz do Wielkiego teatru i po niedługiem szukaniu zajmuje swoje miejsce w pierwszym rzędzie.

Podczas pierwszego entr-aktu wchodzi wyelegentowany, młody oficer od huzarów, świeżo stacyonowanych w Warszawie.

Bardzo przystojny, w ślicznym mundurze ściąga na siebie wszystkich uwagę.

Szuka swego numeru na krzesłach i znaleść nie może. Wszystko albo zajęte, albo mają na sobie inne numery.

Widocznie zły wraca w jedno i tosamo miejsce, przeprasza, zagląda, szuka...

Wreszcie po mozolnych poszukiwaniach dochodzi do swego krzesła, na którem jednakże siedzi najwygodniej i najbezpieczniej książe Lu...

Wściekły staje nad nim, marszczy czoło i wybucha głośno, tak głośno, że ściąga uwagę nietylko parteru, ale i lóż.

— Na jakiem wy obszczaniu zajęli moje miejsce — pyta aroganckо.

Książe podnosi głowę, przygląda mu się obojętnie poprzez „pinze-nez“ i spokojnie odpowiada, także lekko zirytowany.

— Ależ ja na żadnem pańskiem obszczaniu nie siedzę, tylko na mojej własnej...

Od tego czasu nikt nigdy tego oficera nie widział.

U lekarza.

Do jednego z krakowskich specyalistów zgłosił się pacyent, proboszcz z zapadłej prowincyi, gdzie, jak to powiadają, świat deskami zabity.

Lekarz zbadał pacyenta i pyta:

— A gdzie się to jegomość nabawił tej słabości?

Ten zaś na to:

— Zdaje mi się, panie konsyliarzu dobrodzieju, że będzie to stało w związku z moją ostatnią podróżą na odpust w sąsiedztwo. Bryczka tak strasznie trzęsła, że już wtedy myślałem sobie, iż mi to może zaszkodzić.

— Acha!... Więc to z bryczki!..

— Tak, tak!... Z bryczki, dobrodzieju!

— Hm!... W takim razie radziłbym, aby jegomość jak najprędzej pozbył się tej trzęsącej bryczki, bo ta szelma musiała się prowadzić bardzo niemoralnie!...

⊙ ⊙

Lepiej.

Są dzienniki, w którym wyłącznie poetki
Drukują prace od siedmiu boleści
Zamiast cerować drogie dziś skarpetki
I w nich lokować ten „talent“ niewieści.



— Nadchodzi ten sławny uczony, który napisał wyborne studyum o kobiecie. A jakie on ma cienkie nogi! Musiał zapewne gruntownie studyować!



Majster: Jeszcze nigdy nie widziałem takiej małej nóżki!...

Kokota: To też tylko dzięki małej nóżce mogę żyć na wielkiej stopie!



— Towarzystwo upiększania miasta powinno mi przysłać dyplom Upiększam bowiem te nudne, jednostajne brzegi Wisły.



Niebezpieczny wiek kobiety.

..I cóż mi z tego, że jestem w niebezpiecznym wieku, skoro nikt nie chce mnie narazić na niebezpieczeństwo!



Sen dziewiczy.

Śniło mi się, że się kąpałam w rzece. Nagle olbrzymi rak uszczypnął mnie w łydkę. Miał on długie wąsy i wiszący ogon... Już wiem co to znaczy: mój narzeczony przyjdzie!



Myśl kokoty.

Mówcie sobie jak chcecie, a ja powiadam, że wiatr i deszcz są najlepszymi pośrednikami miłości na ulicy!



Pokojówka: Panienka ma prześliczny biust!

Panna: I twój jest niczego!

Pokojówka: Nie wiem, ale narzeczony panienki twierdzi to samo!



— Pani Lampenlicht! A gdzie jest mąż pani?

— On jest w sądu karnego.

— A czy on jest w tego sądu jako adwokat, czy jako paskarz?

Ferdek Eleuteryk.

Jako obewatel rozszyrzonygo miasta Krakowa, ale mający całkiem skurczonom kantynę z powodu coraz lepszejszych warunków aprowizacyjnych, przeczytałem z wielgiem ukontyntowaniem, że przy prezydyalnym stolcu miejskim będzie utworzony aprowizacyjny bajrat, do któryfo mają być powołani przedstawiciele i przedstawicielęta wszelkich sfer społecznych.

Kiedy to jednak ma nastąpić, tego dotąd nikt nie jest wiedzący, bo jest to tajemnica urzyndowo magistratu, któryj zdradzić nie wolno.

Że takie autonomiczne cielę jest potrzebne, to kuždy wi, bo cheba nima między nami ni kogo, komuby już te lepszejsze czasy, o których godoł pan wicek Rolle, a szmaciorze były grypsające, bokiem nie wylazowały!

A byłby już czas o tem pomyśleć, bo łatwo może być do tygo przychodzącem, że tymczasem wyzdychają z przeproszyniem z głodu kra koskie gołe dymokraty i nie bedzie kto mioł płacić podatków i głosować, wobec czygo całe nasze życie autonomiczne może być bardzo łatwo w łeb biorącem, a co za tem może być idącem, obeńdzie się i bez pana prezydenta i bez wicków i inkszych automatycznych dygnitarzy.

Trza więc ratować Kraków, a tą deską ratunku ma być owa rada przyboczna, która, jak się to u nas zwykle jest dziejącem, bedzie się pewnikiem składała ze samych fachowców.

I pan cysarsko-króleski jeneralny delegat mo taką przyboczną radę, radzącą zawdy bardzo mądrze, ino nie wtedy, gdy ją kto o radę pyta. Prefesur od łaciny jest generołem od rolnictwa, fabrykant papy do przykrywania dachów, aprowizatorem, nie byłoby tyż nic w tym dziwnygo, gdyby jaki kataryniarz zostoł delegatem od oświaty, kiełbaśnik od sprawiedliwości (jako. że to są najsprawiedliwsi ludzie pod słońcem!...). Zresztą domowe wykształcynie jest z nich kuždy mający, a to u nas wystarczy, aby być nie tylko delegatem, ale nawet i ministrem.

Ale jo se tak jestem myślący i karkulujący, że taki krakowski aprowizacyjny bajrat, jeżeli ma być swemu zadaniu odpowiadającym, to się powinien składać z samych paskarzy, bo ino oni są wiedzący, czego narodowi potrzeba, gdzie są towary i jak je dostać.

Mogą zreśtą paskarze być urzyndnikami, walczącymi z lichwą aprowizacyjną, mogą tyż być i członkami bajratu, ku ogólnymu zadowoleniu. A i sami na tem będą dobrze wychodzący bo kuždy z nich potrafi klawo zakręcić gitarę ojcom miasta i wtryni im ten towar, jaki mo na zbyciu.

Ważnijsze, kiedy ową radę przyboczną ma się być zwołującym?... Godajom, że dopiro wtedy. gdy już bedom nowe magistrackie hopy. Mo ich być w obieg puszczonych pono dwa miliony, choć to nie bedzie wystarczającem nawet do pokrycia miejskigo deficytu, który z dnia na dziń rośnie coraz bardzij ku ogólnyj radości mieszkańców miasta, teroz dopiro wiedzących, że Kraków jest wielgi, bo mo kupe długów i bogaty, gdyby nim bowiem nie był, cheba nikt nie byłby mu pożyczającym i to takie grube hopy!

Nima więc złygo, aby na dobre, albo i na jeszcze gorsze nie wyszło, kto więc jest dziś wiedzącym, czy też i z tym bajratem aprowizacyjnym nie będzie taksamo. Dopiro, gdy zacznie urzyndować, przekonamy się że jest jeszcze gorzyj, niż było przedtem...

To tyż może i lepij bedzie, jeżeli zostanie po starymu... Z paskarzami prędzej sobie radę będziemy dający, niż z takim automatycznym urzyndem, któryo członkowie będą sobie ino po próżnicy jadaczkę strzempiący, cuda o swej gorliwości i pracy mówiący, a w gruncie rzeczy ino o swym interesie własnym myślący...

Czy nie racyjo?

List panny Maryanny do przyjaciółki.

Kochana panno Teklusiu!

Powiadam drogiej pannie Teklusi.
Że dyabła warta ta służba cała.
Człek w dzień i w nocy harować musi
I nic dziwnego, żem spadła z ciała.
A zauważył już ten przypadek
Pan, panicz, nawet i pani dziadek!

Nasz panicz późno wraca do domu
I zaraz w sieni ściąga obuwie,
(Tylko, że panna nie mów nikomu,
Bo ja o pannie także nie mówię).
Zawsze go dyabli wtedy przyniosą,
Gdym z przeproszeniem już cała boso!

Te młode chłopcy to bałamuty
Mówię Teklusi i straszne śmiałki,
Więc kiedy panicz znów wdzieje buty
I ma się wiedzieć inne kawałki,
Myśli Teklusia, że człowiek zaśnie?
A nos do ula! – Akurat właśnie!

Już znowu słyszę ktoś do drzwi skrobie,
(No, jak się pannie Tekli podoba?)
Dlatego nieraz już myślę sobie,
A żeby cię tam jasna choroba!
Nasz pan — to straszny kawał marudy!
Gdybym to o tem wiedziała wprzódy).

Taka gonitwa jest nieustanna.
Myślisz, że uśniesz? Darmo, człowiecze!
A znałeś maja!?... Zobaczysz panna,
Że się tu zaraz dziadek przywlecze!
Ten dziadek pani, z wielkiej starości,
To na nim tylko skóra i kości!

Wytłumaczył.

Pan dziedzic był dziś w bardzo dobrym humorze, nic też dziwnego, że rozmawiał bardzo chętnie z każdym, kto mu się tylko pod rękę nawinął.

— To jednak ciekawe, mój Janie — mówił do swego zaufanego lokaja — że ty taki jakiś do mnie podobny... Czy przypadkiem twoja matka będąc jeszcze panną, nie służyła w pałacu u moich rodziców?

— Nie! — Jan na to. — Matka moja nie służyła tu nigdy, ale mój ojciec nieboszczyk był u jaśnie państwa stangretem i z jaśnie panią hrabiną jeździł zawsze na spacer do lasu..

Rutyna.

Panna Cecylia wyjeżdża konno na spacer, za nią stajenny Bartek. W drodze koń się płoszy, panna spada, suknia trochę w nieporządku lecz zręcznym ruchem panna podnosi się, dosiada rumaka i pyta Bartka:

A co Bartek, widziałeś moją rutynę?

— Widziałek, jaśnie panienko, ale u naszych dziewek to się to ta inacy nazywo...

Źle zrozumiane.

U państwa Taubelesów odbywają się bardzo często przyjęcia, na których zbiera się cała śmietanka miejscowego towarzystwa, sami b. radcowie cesarscy, mecenasi, konsyliarze. Nie brak też i młodzieży obojga płci.

Przyjaciółka gospodyni domu, pani Kohn, omawiając z nią nazajutrz szczegóły przyjęcia, zwróciła uwagę, że należałoby się postarać o srebrne szczypce, gdyż to bardzo nieapetycznie wygląda, gdy młodzież, wiadomo w jakim celu, wychodzi z pokoju, potem wraca i palcami wyjmuje cukier z cukierniczki.

Pani Taubeles przyznała racyę i postanowiła się do wskazówki zastosować.

Podczas najbliższego *fixu* przyjaciółka zwraca się do niej ze słowami:

— Zapomniała kochana pani o szczypcach?

— Ależ nie! — ta jej na to.

— Ja ich jednak nie widzę w cukierniczce?

— To one miały być w cukierniczce?... Kupiłam, tak jak pani radziła, srebrne, ale je kazałam powiesić w... klozecie!

Z księgi przysłów.

Komu w drogę, temu czas — rzekł skazany na śmierć, udając się pod szubienicę.

Szkoda czasu i atlasu — mruknął paskarz, gdy mu skonfiskowano cały zapas tej materyi.

Gość w dom, Bóg w dom — byleby to nie był egzekutor podatkowy.

Nie miała baba kłopotu, kupiła sobie prosię, gdyż je wojsko w swoim czasie zarekwirowało i dotąd nie może się doprosić odszkodowania.

Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje — ale często nie to, czego sobie życzył.

Módl się i pracuj, jeżeli chcesz być dziadem do samej śmierci.

Każda liszka swój ogonek chwali — pamiętała o tem pani Eufemia i o swym mężu wyrażała się zawsze z najwyższem uznaniem.

Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada — przypomniał sobie, wracając wieczorem do domu, dyrektor wodociągu, znalazłszy się na dnie „dołka", wykopanego przez swych współpracowników.

Nec Hercules contra plures — rzekł do siebie złodziej, gdy go trzech stójkowych eskortowało „pod Telegraf".

Oszczędnością i pracą ludzie się bogacą — rzekł do siebie złodziej, pracując w pocie czoła nad otworzeniem drzwi do skarbca Kasy Oszczędności.

Poznał swój swego — gdy się zwykły bandyta i paskarz spotkali w jednej celi kryminału.

U rzeźnika.

(Autentyczne).

— Proszę o pięć kilo wołowiny.

— Co? Pięć kilo aż, teraz, gdzie nic mięsa niema? Mogę dać najwyżej jedno kilo!

— A ile kosztuje?

— 20 koron, jak dla pani.

— Ile pan dasz za tego woła?

— Panie kochany, mięsa jest w bród! Sam nie wiem, co mam z niem robić; ludzie nie chcą kupować, bo im dzisiaj już wszystko za drogo! Dam najwyżej 3 korony!



Z listów Hermogenesa Klapy.

Mon ami „Bocian“!

No i doczekała się świeczka odpustu, a koalicya i cały swiat podpisania przez Niemiaszków traktatu pokojowego, którego jednak nie mają bynajmniej zamiaru dotrzymać.

W dniu 28. czerwca zebraliśmy się wszyscy w galeryi zwierciadlanej zamku wersalskiego i tutaj akt ten doszedł do skutku. Delegacya niemiecka przybyła w odmiennym składzie, hr. Brockdorf-Rantzau został w domu, a jego miejsce zajął całkiem demokratyczny pan Miller.

Stało się to głównie z tego powodu, iż nazwisko „Miller“ jest w Niemczech tak popularne, jak w Krakowie, dajmy na to, „Nowak“, a chodziło właśnie o to, aby zadokumentować, że cały naród zgadza się na warunki pokojowe.

Zresztą hr. Rantzau, jak mi to donósł listownie, jest chory. Podobno zakatarzył się poważnie wtedy właśnie, gdyśmy się obaj przekonywali, czy to była autentyczna pokojówka, czy też przebrany szpieg. Mnie to bynajmniej nie zaszkodziło, gdyż jestem ostrożny i na krok nie puszczam się bez gumowych kaloszy, których kilka tuzinów otrzymałem w swoim czasie od nieboszczyka cara Mikołaja, gdym był jego gościem w Peterhofie.

Wobec konieczności pozostania w Paryżu, musiałem zrezygnować z wzięcia osobistego udziału w likwidacyi sułtańskiego haremu w Konstantynopolu. Wysłałem, zamiast siebie, swego prywatnego sekretarza, który jest młodszy odemnie o jakie trzydzieści lat i wobec tego wywiąże się z pewnością należycie ze swego zadania.

Dotąd nie mam od niego żadnej wiadomości, ale temu się nie dziwię, gdyż tureckie poczty jota w jotę funkcyonują tak samo, jak nasze.

Podpisanie traktatu odbyło się ściśle według programu, z góry ułożonego, a zatwierdzonego przez panią Wilsonową. Przemówił stary tygrys, który chcąc się wygadać przed przejściem w dobrze zasłużony stan spoczynku, nikogo też nie dopuszcza do głosu. Podczas jego przemówienia Lloyd George dłubał w nosie i wyciągał stamtąd konsekwencye, a Wilson czyścił swój monokl.

Delegaci niemieccy, choć są między nimi i ministrowie „o domowem wykształceniu“, umieją wszyscy pisać, każdy z nich podpisał się też pełnem imieniem i nazwiskiem. Potem my złożyliśmy na akcie swe podpisy i było po uroczystości.

Miały nastąpić podobno jakieś igrzyska wodne, ale odpadły z powodów od Redakcyi niezależnych. Niemcy odjechali w spokoju, a ja wraz z członkami Rady Czterech, których było jednak tylko trzech, poszedłem na kawę do pani Wilsonowej, gdzie zabawiliśmy się do wieczora.

Zabawa podsycana staroamerykańską gościnnością obojga gospodarstwa, była jak się patrzy. Prezydentowa oświadczyła, że już w najbliższym czasie zabierze męża do Ameryki, bo się tu w Europie rozpróżniaczył i prosiła mnie, abym ich w najbliższym czasie odwiedził w Waszyngtonie. Spraszałem się, jak mogłem i umiałem, choćby tylko z tego powodu, że, jak wiadomo, Amerykanie od pierwszego lipca stali się zdeklarowanymi eleuterykami, a pragnienie gaszą odtąd tylko wodą. Ta zaś bynajmniej mi nie służy. Wody nie lubię w butach, a tem mniej w żołądku!... Przyznała mi racyę, zaznaczyła jednak, że w wypadkach, zasługujących na szczególniejsze uwzględnienie, będzie można otrzymać dyspenzę.

Wobec tego może się i zdecyduję na tą podróż, zwłaszcza, że z Wilsonem pokochaliśmy się jak bracia i jeden bez drugiego żyć nie może.

W rozmowie oświadczył nam Lloyd George, że swą misyę uważa już za skończoną i podaje się do dymisyi, głównie z tego powodu, iż dochody jego, jako ministra, nie wystarczają mu na najkonieczniejsze wydatki. Ma zamiar zerwać zupełnie z polityką, przenieść się do Krakowa i tu poświęcić się zawodowi drukarskiemu, aby sobie w ten sposób poprawić egzystencyę.

Na zakończenie, aby nam, Polakom, dać dowód swej życzliwości, przeforsował w Radzie Czterech uchwałę, polecającą nam pacyfikacyę Galicyi wschodniej aż po sam Zbrucz, a co się potem ma stać z tą częścią naszego kraju to rozstrzygnie plebiscyt Urządzi się go przy zastosowaniu urn wyborczych krakowskiego systemu, wynalezionych swojego czasu przez pana Jana Kantego Federowicza, znanych nawet w Paryżu na równi ze „Smokiem“ pana radcy Kosobuckiego.

Na pożegnanie Lloyda George'a urządzamy składkową ucztę. Ja mam podczas niej wygłosić mowę, którą sobie już przygotowałem. Kończy się słowami:

„Kochany radco,
Nie jestem chwalcą,
Ale, co wiem,
To powiem!...
Ty jesteś naszą ozdobą i chlubą
A więc żyj długo!...“

Jeśli obecnych do łez nie poruszę, to jestem gips!... Jestem przekonany, że będą ryczeć jak bobry, a najgłośniej sam solenizant. Choć wydaje się nam na oko, jako nasz wróg, a przyjaciel Niemców, Ukraińców i żydów, w gruncie rzeczy jest to bardzo porządny człowiek, używający stale chustki do nosa i zmieniający co tydzień nawet te części płóciennej garderoby, o których się głośno nie mówi w damskiem towarzystwie.

Widziałem się tutaj z Kasprem Krupą z Krakowa, który się chwali w swym liście, do „Dyabła“ wystosowanym, że miał ten zaszczyt, iż pozwolono mu na pożegnanie pocałować Wilsona w lewe kolano. Pocałował go, to prawda, gdyż byłem przy tem obecny, ale nie w kolano, lecz nieco wyżej, i to w chwili, gdy Wilson był doń odwrócony odwrotną stroną medalu. Takie odznaczenie nie spotyka każdego, nie dziwię się też, że się tem chwali.

I ja postąpiłbym tak samo, ale ja całować nie lubię!

Jak się zdaje, po podpisaniu traktatu pokojowego przez Niemców, zamkniemy budę i rozjedziemy się w różne strony świata, decyzya jednak w tym kierunku zapadnie dopiero później, o czem nie omieszkam Was w swoim czasie zawiadomić urzędowo, choć nie jest wykluczonem, że jako członek męski Ligi narodów będę zmuszony pozostać i nadal za granicami kraju. Podobno mamy stale urzędować w Genewie, co mi tembardziej przypada do gustu, iż byłem zawsze amatorem sera szwajcarskiego.

Zegnajcie więc!... Być może, że maluczko, a ujrzycie mnie, albo też maluczko, a nie ujrzycie mnie!... W każdym razie bądźcie pewni, że Was kocham jak dawniej i tylko o Was myślę!...

Ponieważ, jak się wyżej rzekło, całować nie lubię, wobec tego Wy pocałujcie

Waszego

Klapę.

Jak... w studni!

Do pobożnej panny Kloci,
Znanej z cnoty i dobroci,
Codzień prawie (po kościele)
Przychodziło osób wiele.

Czy w zapusty, czy też w poście,
Panny Kloci mili goście,
Więc bigoci i dewotki,
Zgromadzali się... na plotki!

Więc nowinki: Pannę Litkę
Mops pieszczony ugryzł w... łydkę.
To znów — miasto oburzone —
X. porzucił wczoraj żonę!...

Albo, wersya płynie szparko,
Z. pobiła się z kucharką!...
M. to panna, nie mężatka!
U poborcy dziś herbatka!

I tak dalej... i tak dalej..
Co słyszeli — powtarzali,
Kończąc z miną tajemniczą,
Że „na rozum Kloci liczą!

Że te wszystkie wieści przecie
Muszą w ścisłym być sekrecie!“
Klocia na to z silnym gestem:
„Wy nie wiecie kto ja jestem!

Wy, jak widzę, moi złoci,
Nic nie znacie chyba Kloci!
Więc nie bądźcie tacy nudni!
U mnie sekret, tak jak... w studni!“

— — — — — — — — —

„Tak, to prawda! Prawda święta!“
Woła żona respicyenta,
Straszna, sucha, z długą szyją,
„Studnia, z której... wszyscy piją!“

Poprawiła się.

— Niedawno przyłapałem cię z mym prokurzystą, a dziś widziano cię z mym dyrektorem.

— Widzisz więc, żem się poprawiła.

Już wie.

Chłopiec wiejski budzi ojca nad ranem i pyta go o godzinę.

Ojciec popatrzył trochę po niebie i rzekł:

— A no jużci piąto!

— Tatusiu, a skądże wy wicie, która godzina?

— A widzisz synu, jo mom taki zygor w głowie!...

— Aha! To już wiem!... Jakeście kieś byli za stodołą, to widziołem wagi od tego zygora...



Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Konstanty Krumłowski. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego



Do pociągu.

— Prędko moja kochana żoneczko do pociągu!... Spiesz się, dopóki jeszcze stoi!

Żona: Ach! Tę piosnkę ciągle mi powtarzasz!